

**KOSZALIN**

**w 20-lecie**

**WYZWOLENIA**



KOSZALIN  
W 20-LECIE  
WYZWOLENIA

---

• KOMITET MIASTA I POWIATU  
FRONTU JEDNOŚCI NARODU W KOSZALINIE



Opracowały :  
JADWIGA ŚLIPIŃSKA  
STEFANIA ZAJKOWSKA



mn i mw.  
5324

KZG Koszalin D-416 4. 5. 65. A-5 2000 pap. klienta. T-1

## »... pozostawia się dla pamięci...«

„...ut firmitate omnimoda roberentur, que posteriorum sunt memoriae reliquenda...” — czytamy w przywileju Bogusława II. „— Słusznym jest umacniać wszechstronnym utwierdzeniem to, co pozostawia się dla pamięci potomnych...” Bogusław II, bojąc się upływu czasu, zacierającego nawet wielkie wydarzenia, potwierdził dokumentem swoją darowiznę. Dzięki temu mamy dziś datę, do której możemy się odwołać, datę związaną z Koszalinem. W roku 1214 Bogusław II nadał klasztorowi w Białoboku „w wieczyste, swobodne i spokojne posiadanie wieś zwaną Koszalin, położoną opodal Góry Chełmskiej w kasztelanii kołobrzesckiej...”

O dalszych losach owej „wsi zwanej Koszalinem” zadecydował jeszcze jeden dokument, z 1266 roku, przekształcający Koszalin w miasto. Przywilej lokacyjny był dziełem biskupa kamieńskiego, Hermana von Gleichen, który z rozwojem tego miasta liczył na większe dochody. Koszalin, położony na szlaku wiodącym z Gdańska do Szczecina, miał przed sobą piękną przyszłość. Oczywiście miejscowa ludność słowiańska musiała wówczas witać nieufnie pierwszych kolonistów niemieckich, którzy mieli stać się podporą ambitnego biskupa. Ale wkrótce zaczęła odczuwać także i korzyści płynące z owego przywileju lokacyjnego. Można było wybudować młyn, mieszkańcy otrzymali też prawo rybołówstwa.

Takie są pierwsze dane o Koszalinie i pierwsze dokumenty z tym miastem związane. Historycy to ludzie dociekliwi. Część z nich przypuszcza, przytaczając poważne argumenty, że Bogusław II darował przywilejem wieś Koszalin, a obok istniał gród o tej samej nazwie, z darowizny wyłączony, gród, o którym można znaleźć wzmiankę w kronice Boguchwała, odnotowującej nazwy miast, które Krzywousty przyjął pod swoje panowanie.

Uczeni będą się nadal zagłębiać w szczegóły i szukać dowodów dla potwierdzenia swoich hipotez, nam jednak w tej



chwili wystarcza fakt, że w roku przyszłym minie 700 lat od daty nadania miastu prawa lokacyjnego. Co się tutaj działo w ciągu owych siedmiuset lat, jakie wydarzenia — dziś jeszcze — godne są naszej uwagi?

Miasto bogaciło się, jego mieszkańcy coraz bardziej wiązali swe nadzieje z morzem. Port rybacki w Unieściu umożliwiał żeglugę handlową, koszalinianie umacniali swoją pozycję na wybrzeżu, a nawet — przez jakiś czas — Koszalin był w związku miast hanzeatyckich. Ba, jego znaczenie gospodarcze tak bardzo wzrastało, że Kołobrzeg zaczął się poważnie obawiać konkurenta rozwijającego handel morski. Dopiero w początkach XVI wieku ograniczono prawa Koszalina na morzu i wybrzeżu, kiedy Kołobrzegowi przyszli w proteście z pomocą mieszkańcy Darłowa.

Był to poważny cios, godzący w ekonomiczny rozwój miasta. Na domiar spadły wówczas na Koszalin liczne klęski. W roku 1500 wybuchła epidemia dżumy, w cztery lata później pożar zniszczył niemal całe miasto. Ocalały jedynie nieliczne zabudowania koło bram miejskich. Po trzydziestu latach nowa epidemia dżumy przynosi śmierć tysiąca pieciuset mieszkańców. Mija nowych czterdzieści lat — i pożar niszczy znów zabudowania przy ulicy Młyńskiej, a nowa epidemia dżumy dziesiątkuje mieszkańców Koszalina. Te klęski nawiedziły miasto w ciągu jednego wieku. Koszalin był w ich wyniku tak biedny, że rada miejska zwracała się do biskupa, aby przyjął na swoje utrzymanie pisarza miejskiego.

Dalszy rozwój Koszalina zahamowały liczne przemarsze wojsk, którym towarzyszyły nieodłączne: grabież i nadmierne podatki. W Koszalinie zapanował głód i nowa epidemia dżumy, która powtórzy się raz jeszcze w niemal opustoszałym mieście. Wielu mieszkańców uciekło. W drugiej połowie XVII wieku w Koszalinie mieszkało zaledwie 80 osób.

A jednak i tym razem miasto podźwignęło się z upadku. Odbudowano je niemal całkowicie, ale domy pokryto przeważnie słomą lub trzciną. One to uległy przede wszystkim zniszczeniu, w ostatnim, groźnym pożarze, który wybuchł w październiku 1718 roku. Rada miasta musiała wystosować petycję do króla pruskiego by uzyskać finansową pomoc. Ze zniszczonego pożarem ratusza wyratowano — na szczęście — skrzynię z przywilejami miasta. Z pożaru ocalał kościół, nieliczne zabudowania w jego pobliżu i koło bram miejskich.

Warto jeszcze prześledzić dzieje ludności rodzimej, kaszubskiej, prawowitych gospodarzy tej ziemi.

Wraz z przywilejem lokacyjnym przybyli tutaj osadnicy niemieccy: rycerze, chłopci, mieszczenie, z bogatszym doświad-



Zabytkowe znaleziska w koszalińskim Muzeum mówią o słowiańskiej przeszłości  
Fot. Fr. J. Lachowicz

zeniem gospodarczym, zasobniejsi materialnie, podporządkowywali sobie ludność kaszubską. A jednak słowiański żywioł tych miast utrzymywał się przez całe dziesiątki lat, dzięki powiązaniom zarówno rodzinnym jak i politycznym pomorskiej dynastii książęcej z królewską dynastią polską.

Dopiero w XVI—XVII wieku dwory książęce w Szczecinie, a także i Słupsku stają się ośrodkami niemieckiej. Wynaradawia się również i szlachta, mająca na względzie korzyści ekonomiczne. Duchowieństwo w większości było również niemieckie. Napór germanizacji wzrasta. Zdarzają się rugi chłopów słowiańskich z ziemi, ogranicza się gospodarczą działalność ludności rodzimej. Istnieje przecież dokument, w którym zarząd miasta Koszalina zabrania kupna towarów od sprzedawcy mówiącego po kaszubsku i to pod rygorem kary pieniężnej! Jest to — jak można wnioskować — problem jeszcze poważny w tym mieście, a także świadectwo sięgania do bezwzględnych środków dla osiągnięcia celu, jakim była germanizacja ludności słowiańskiej.

Kronikarz pomorski, Kantzow, pisze w XVI wieku:

„Chociaż więc obecnie imię i ród Wendów są u nas tak pogardzane, że jeden drugiego nazywa dla obelgi Wendem



lub Słowianinem, to jednak my nie chcemy wstydzić się tego pochodzenia".

Jakkolwiek akcja wynaradawiania trwała, to jednak znalazły się ośrodki w tym województwie, w których ludność zachowała mowę, wiarę i obyczaje. Bramy koszalińskiego więzienia zamykały się za Kaszubami z Bytowskiego, działającymi w Związku Polaków w Niemczech, którzy uważali, że ich ojczyzną — jest Polska, którzy wierzyli, że przyszłe granice Polski będą sięgać po Odrę.

Nie wszyscy z bojowników o polskość tych ziem doczekali dnia, o którym czytamy w rozkazie:

„...Dzisiaj, 4 marca o godzinie 23, stolica naszej ojczyzny, Moskwa, w imieniu Ojczyzny salutuje waleczne wojska 2. Frontu Białoruskiego, które zdobyły miasto Koszalin, dwudziestoma salwami artyleryjskimi z dwustu czterech dział...”

Koszalin od tej chwili zaczął pisać swoją nową historię, wypełnioną pokojową pracą. Miasto położone opodal Góry Chełmskiej, zniszczone znów i wyludnione, przyjmowało nowych, prawowitych gospodarzy.

Patronat nad Koszalinem objęło Gniezno, gdzie powołano komitet osiedleńczy. Pierwsi wysłannicy dotarli tu wkrótce po wyzwoleniu. Przyjeżdżali towarowymi pociągami, zdobywającymi samochodami wojskowymi, przychodzili pieszo. Pod koniec marca, dzięki ekipie pocztowców z Bydgoszczy, uruchomiony został Urząd Pocztowy nr 2 w Koszalinie. Zjawiają się ludzie zabezpieczający mienie państwowe, przygotowujący miasto na przyjęcie nowych mieszkańców. Oni to mieliby pełne prawo w tamtych latach, w owych pierwszych dniach wolności Koszalina, powtarzać za Żeromskim:

„Przychodzimy na to jałowe wybrzeże z cudownego losów użyczenia, na skutek przedziwnej zapłaty, ażeby zeń uczynić naszej wolności skarb bez ceny... Nie przynosimy tu zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy tu krzywdy. Przyносimy dobro i pracę...”

Działała już w Koszalinie placówka administracyjna, spełniająca funkcje starostwa; powołana została Milicja Obywatelska, mała garstka ludzi, chroniąca mienie przed szabrownikami; przyjechały z Piły okręgowe władze administracyjne. W kwietniu dotarły na Pomorze grupy operacyjne Polskiej Partii Robotniczej. Do Koszalina taka grupa przybyła w maju. Był to trzon władz partyjnych i administracyjnych. Dzięki ich inicjatywie tymczasowy zarząd miejski przekształcił się w stałe władze administracyjne. Przybyli też pierwsi nauczyciele i działacze oświatowi, inwentaryzując szkoły, gromadząc księgozbiory i pomoce naukowe. Przyjechały



Zdjęcie archiwalne z pierwszych lat po wyzwoleniu: zbiórka młodzieży z ZWM na stadionie miejskim

pierwsze transporty osiedleńców. W czerwcu, w pierwszej polskiej szkole rozpoczęto naukę...

Wszystko to, co dzisiaj można streścić w kilku zdaniach, zawiera w sobie ogromny trud budowania nowego życia w zniszczonym mieście, kryje wiele wyrzeczeń pierwszych mieszkańców osiadłych po wojnie w Koszalinie, pozbawionych normalnych warunków bytowania. Wszystko trzeba było tutaj organizować od podstaw, a w tej pracy przewodził aktyw Polskiej Partii Robotniczej. Oto fragment ze sprawozdania Komitetu Powiatowego PPR w Koszalinie, z czerwca, 1945 roku.

„Następnie towarzysze zawarli znajomość z komendą wojenną i majorem politycznym Orłowem, jak również pomagali w organizowaniu administracji miejskiej i powiatowej. Na stanowisko starosty został z tejże grupy powołany tow. Dobrzycki, a na burmistrza tow. Jakubowski...”

Do Koszalina wracało życie. Poczęto nawet wydawać własną gazetę, przynoszącą serwis wiadomości lokalnych. Tutaj także dotarł i osiadł rewiowy Teatr Wojska Polskiego, który przyjął nazwę Teatru Domu Żołnierza i działał do końca



1946 roku. W pół roku później powstał Teatr Objazdowy przemianowany na Teatr Miejski.

Uruchamianie stopniowo zakładów pracy, dawały zatrudnienie i podstawy bytu osiedlającym się rodzinom. Rozwijało się szkolnictwo, powstawały liczne urzędy i instytucje.

Życie w Koszalinie, nabierające rozmachu, zostało jednak w pewnym stopniu zahamowane w swoim rozwoju z chwilą, kiedy siedzibę województwa przeniesiono do Szczecina. Koszalin stał się miastem powiatowym, bez szczególnych perspektyw rozwojowych.

Ale już rok 1950 stał się rokiem przełomowym w dziejach miasta. Powołane zostało województwo koszalińskie. I do tej daty również będziemy się mogli odwoływać, mówiąc o historii miasta, które na naszych oczach rozbudowuje się i pięknieje z roku na rok.

Pozostaje nam powtórzyć za Bogusławem II: Słusznym jest umacniać wszechstronnym utwierdzeniem to, co pozostawia się dla pamięci potomnych...

## Od browaru — do elektroniki

**T**YTUŁ niedorzeczny, ale jedynie pozornie, obrazuje on bowiem w jakimś stopniu drogę koszalińskiego przemysłu, która wiodła — prawie dosłownie — od browaru, do elektroniki. Aby tę drogę prześledzić, trzeba cofnąć się pamięcią do pierwszych dni wyzwolenia Koszalina. Zniszczone miasto, zdeorganizowane gospodarczo, nie otwierało przed osiedleńcami zachęcających perspektyw. Jedyny większy zakład produkcyjny — fabryka papieru — została podczas działań wojennych całkowicie zniszczona. Nie było już co wygrzebywać z gruzu.

Oczy nielicznych jeszcze mieszkańców zwrócone zostały na browar, gdzie powoli przygotowywano się do uruchomienia produkcji. Latem zaczął już dymić jego komin. Latem też, w Komitecie Wojewódzkim PPR w Koszalinie powstał Wydział Przemysłowy. W zakres jego zadań wchodziła przede wszystkim współpraca z instytucjami gospodarczymi oraz — jak stwierdzają to dokumenty — mobilizowanie załóg robotniczych w kierunku uruchomienia i rozwoju produkcji.

Jaka to mogła być produkcja w tym zniszczonym mieście? A jednak ludzie nie rezygnowali. Bez zapłaty, jedynie za wyżywienie, montowali maszyny w Roszarni. Grupa zapaleńców rozpoczęła mozolną organizację I Zachodnio-Pomorskiej Spółdzielni Mechaników Samochodowych. Działo się to pod koniec 1945 roku, kiedy nawet tym największym optymistom — a takich nie brakowało — nie marzyło się, że ich spółdzielnia, o dumnej przecież nazwie „I Zachodnio-Pomorska“, będzie zakładem nowoczesnego zakładu: Fabryki Urządzeń Budowlanych.

**Z**ACZYNALIŚMY więcej niż skromnie. Niejeden ze „starych” mieszkańców Koszalina, który znalazł się w tym mieście w pierwszych dniach wyzwolenia i brał czynny udział w życiu miasta, potraktuje ze wzruszeniem ów żartobliwie może brzmiący dzisiaj fragment o dymiącym kominie





Na stanowisku pracy w FUB

Fot. E. Pelczarowa

okszańskiego Browaru. Ten pierwszy uruchomiony zakład — był symbolem wracającego normalnego życia, symbolem stabilizacji. Niemalym wydarzeniem było uruchomienie Spółdzielni Mechaników Samochodowych, Roszarni, Fabryki Mebli. Dopiero w miarę upływu lat, w miarę jak Koszalinowi z roku na rok przybywało ludności, można było stwierdzić jak nieznaczna jest owa baza produkcyjna. Najlepiej obrazują ten stan cyfry. W roku 1955 w przemyśle zatrudnionych było zaledwie 2.620 osób. Koszalin był już wówczas siedzibą władz wojewódzkich, znaczna część mieszkańców sprawowała stanowiska urzędnicze, nic więc dziwnego, że pokpiwano sobie na temat „Koszalina — miasta urzędników”. Koszalin przemysłowy jeszcze nie istniał.

**T**YMI nadal komin koszańskiego Browaru, ale nie on jest już symbolem rozwijającego się przemysłu. Nie ma już Spółdzielni Pracy Mechaników Samochodowych, ale na jej miejscu rośnie nowy zakład, powołany do życia decyzją ministra przemysłu ciężkiego w 1962 roku. Fabryka Urządzeń Budowlanych odgrywa i będzie odgrywać pierwszoplanową rolę w przemyśle miasta. Zakład ten ma już opracowany program rozwoju, otrzymuje na ten cel wiele środków

i otrzyma jeszcze więcej w najbliższej przyszłości. Za 6—8 lat wartość rocznej produkcji FUB osiągnie kwotę jednego miliarda złotych!

Ale oto na miejscu dawnego TOR-u wyrósł w Koszalinie jeszcze jeden, wcale znaczny zakład — Koszalińska Wytwórnia Części Samochodowych, która od 1956 roku produkuje i regeneruje części samochodowe. Jak ten zakład się rozwinął?! Oto wartość jego produkcji w roku 1959 wynosiła 16.900.000 złotych, a w roku 1965 wynosi 71.800.000 złotych. Wzrosło w tym czasie zatrudnienie, wzrosła także znacznie wydajność pracy. Dziesięć procent całej produkcji to produkcja antyimportowa, którą z dumą pokazują robotnicy: części samochodowe do Skody, Pragi, Chaussona. Część produkcji przeznaczona jest na eksport.

Wielu robotników w tym zakładzie zdobyło kwalifikacje zawodowe, wielu się jeszcze szkoli. W związku z planami rozwojowymi potrzebni będą jeszcze pracownicy z wyższym wykształceniem i w Koszalińskiej Wytwórni Części Samochodowych rozważa się, czy by nie szukać możliwości rozwiązania tego problemu w fundowaniu stypendiów dla studentów z rejonu Koszalina.

Niewątpliwie, jest to najpewniejszy sposób na zdobycie potrzebnych kadr. Ale Koszalin przemysłowy, Koszalin, który będzie miał dość stanowisk pracy i zapewni przyszłość mło-



W „Bogusławce”

Fot. E. Pelczarowa



dym ludziom — będzie przyciągał wykwalifikowanych robotników, techników, inżynierów. Kiedyś inne miasta zabierały nam całe grupy robotników, którzy zdobyli kwalifikacje w koszalińskich szkołach. Dziś sytuacja zmieniła się radykalnie.

W budowie jest Zakład Pomocy Naukowych, przewiduje się budowę zakładu odzieżowego, który zatrudni 700 osób. Kosztem 100 milionów złotych budowany będzie w Koszalinie Zakład Maszyn Lampowych, który zatrudni około 1000 osób. Będzie on oddany do użytku w roku 1968. To są poważne zdobycze Koszalina, niemały bodziec dla dalszego wzrostu i stabilizacji ludności w mieście.

**W**YPRZEDZILIŚMY jednak wypadki, wybiegliśmy w przyszłość, zaczęliśmy mierzyć to, co dopiero ma tutaj powstać i rozwinąć się. A tymczasem mamy przecież jeszcze kilka skromnych zakładów, które w ostatnich latach poważnie rozwinęły swoją produkcję. Ot, chociażby koszalińska „Bogusławka”, produkująca cukierki, wyroby czekoladowe. W roku 1961 zakład ten dał na rynek 422 tony cukierków i innych słodczy, w roku 1965 daje już 903 tony produkcji. W roku 1963 „Bogusławka” wycofała się z produkcji wód gazowych i lodów, przez co uzyskano pomieszczenia na uruchomienie działu eksportowego pomadek mlecznych. Te wyroby, jakkolwiek pracochłonne, stanowią poważny procent produkcji „Bogusławki”, w której zakład specjalizuje się.

Dziś, w porównaniu do planów rozwojowych koszalińskiego przemysłu, te drobne zakłady produkcyjne wydają nam się niemal bez znaczenia dla gospodarki miasta. Nie możemy jednak zapominać, że właśnie „Bogusławka”, Spółdzielnia Ozdób Choinkowych, wreszcie Browar, Koszalińskie Fabryki Mebli i Roszarnia — stanowiły przed kilkoma laty wszystko, co Koszalin w zakresie przemysłu posiadał.

**W** PLANACH na przyszłą pięciolatkę, znajdziemy w dziale „Inwestycje” pozycję 24 milionów złotych przeznaczonych na rozbudowę „Kazelu”. Kazel — to skrót telegraficzny Zakładów Przemysłu Elektronicznego w Koszalinie.

Zakłady zlokalizowane zostały w obiekcie, przeznaczonym uprzednio na zakład wulkanizacyjny. W latach 1959—1960 przeprowadzono prace adaptacyjne, aby przygotować obiekt do nowych zadań. Nie obeszło się bez milionowych nakładów inwestycyjnych, zarówno na roboty budowlane i montażowe, jak i zakup maszyn i urządzeń.

Działalność produkcyjną rozpoczęły Zakłady w kwietniu 1960 roku. Produkcję uruchomiono w oparciu o technologię laboratoryjną, opracowaną przez Zakład Doświadczalny Przemysłowego Instytutu Elektroniki w Warszawie.

Przypatrzmy się przede wszystkim samej produkcji zakładów: są to tzw. przepusty dla potrzeb przemysłu elektronicznego, precyzyjnego i specjalnego, produkcja wielkoseryjna i masowa o charakterze wybitnie antyimportowym, a więc cennym dla kraju. Uruchomienie produkcji przepustów o szerokim asortymencie pozwoliło na niemal całkowite wyeliminowanie importu z krajów kapitalistycznych; z Austrii i Holandii.

Kierownictwo Kazelu w pierwszym okresie borykało się z wieloma trudnymi problemami. Dawał się we znaki brak narzędziowni, brak fachowców. Istniała konieczność zatrudnienia robotników bez odpowiednich kwalifikacji. Zbyt krótki był także okres przygotowania do produkcji. Spowodowały to w sumie owe szczególne trudności, przez które nowy zakład nie umiał przebrnąć. W tym samym roku w Kazelu podjęto także prace nad przystosowaniem laboratoryjnej technologii do warunków przemysłowych. Uzupełniano powoli park maszynowy, zorganizowano narzędziownię.

Wielkie nasilenie prac miało miejsce w I kwartale 1961 roku. Pracowano nad zmianą technologii, poprawą organizacji pracy, możliwościami wykonywania oprzyrządowania we własnej narzędziowni. Systematycznie i gruntownie szkolono załogę. Wszystko to pozwoliło na szybsze opanowanie produkcji, zmniejszenie procentu braków i wykonanie planu produkcyjnego zarówno już w 1961 roku, jak i w latach następnych, kiedy można było mówić o znacznym wzroście produkcji Kazelu. I warto tutaj podkreślić ambicje kadry inżyniersko-technicznej i załogi nowego zakładu, która w miarę jak nabywano pewności w produkcji przystępowała do produkcji nowych, coraz bardziej pracochłonnych wyrobów.

Wzrastała również ilość zatrudnionych. Załoga Kazelu to ludzie młodzi, którzy zdobywają doświadczenie fachowe bezpośrednio przy warsztacie pracy, równocześnie doksztalcają się teoretycznie. Sporo ludzi dojeżdża do pracy z Białogardu. Są to absolwenci Zasadniczej Szkoły Zawodowej, którzy ukończyli specjalizację w zakresie elektroniki.

Kazel rozwija się i trzeba będzie zwiększyć ilość zatrudnionych tu osób. Sporo mieszkańców Koszalina zdobyło w zakładzie nowy zawód.



Zaczynaliśmy od usuwania gruzów i produkcji piwa. Dziś mamy już nowoczesne zakłady przemysłowe: Fabryka Urządzeń Budowlanych, „Plytolen” — nowoczesny zakład płyt paździerzowych, wreszcie Kazel. Wkrótce będzie ich więcej. A przecież już dzisiaj, w koszalińskim przemyśle zatrudnionych jest około 6 tysięcy osób. O ponad sto procent więcej aniżeli przed dziesięciu laty.

Wypijmy więc symbolicznie — koszalińskim piwem — za pomyślność przemysłowego Koszalina!

## Wyrośło miasto...

**W** gabinecie inż. Kazimierza Woltmana, dyrektora Koszalińskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego honorowe miejsce zajmuje ogromna, drewniana tablica. Fachowiec z wężyków i nitek harmonogramu odczyta aktualny postęp prac w przedsiębiorstwie, do laika przemówi mapka z zaznaczonymi placami budowy i kolorowe wykresy obrazujące wykonanie planu.

No i są jeszcze zdjęcia. Umieszczone w kolumnie „Różne”. Domy budowane i zbudowane, migawki z placów budowy. Spośród nich jedna podobała mi się szczególnie. Na drugim planie — wielkopłytowe budownictwo. Budownictwo, które przestało być rzemiosłem a stało się przemysłem. No, jednym słowem, maszyny, dźwigi i nowoczesność. Zaś na pierwszym planie zdjęcia, przesłaniając nowoczesność wdzięczy się do aparatu fotograficznego czarna, skądinąd ogromnie sympatyczna.... krowa.

Bardzo to zabawne zdjęcie, wystarczające za cały felieton. Otwierając wdzięczne pole do „dziennikarskiej poezji”: na miejscu łąk i pastwisk nowoczesny poligon budowlany.

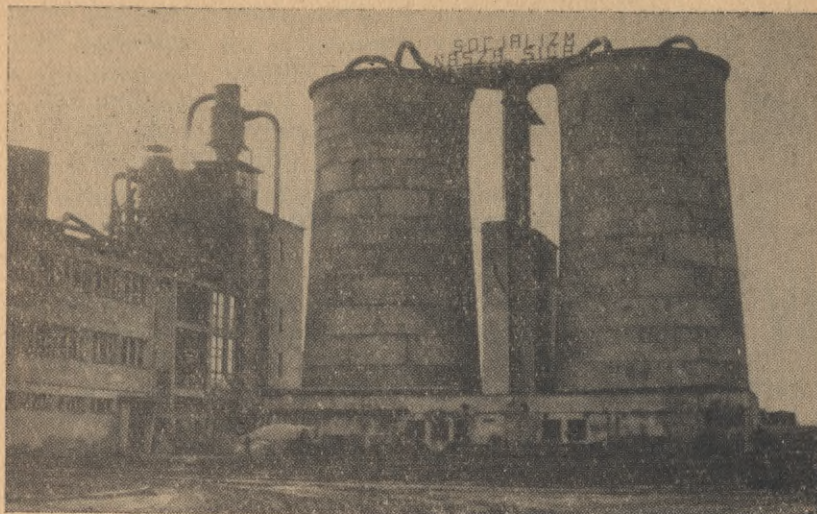
Tak stało się właśnie. Naprawdę.

★

W planie na lata 1965—1970 — ponad dziesięć tysięcy izb mieszkalnych. Setki tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, setki tysięcy metrów sześciennych kubatury. W cztero-sześcio-dziesięciopiętrowe kolorowe bloki, w materialny kształt zajmujący określone miejsce przestrzeni przekształcić się mają makiety i skomplikowane linie planów architektonicznych i urbanistycznych.

Dokonać tego dzieła mają koszalińscy budowlani. Dokonać metodami innymi niż poprzednio. Nie rzędy kładzionych cegliwie cegieł, spajanych hektolitrami zaprawy — ale ściany i stropy wznoszone przy pomocy dźwigów, gotowe, z jednej





Widok na Wytwórnię Płyt Paździerzowych

Fot. E. Pelczarowa

bryły. Prefabrykaty. Budownictwo wielkoprzemysłowe. Wielka technika. Oszczędność. Szybkość. Wysoka jakość.

Zadania rosną, rosną też wymagania. Budować lepiej, więcej, szybciej, taniej. Jak sprostać im przy minimalnym zwiększaniu się załóg budowlanych i podwyższonych kryteriach jakości? Dużo jest warunków, które wypełnić należy, aby nowoczesność naszego budownictwa stała się faktem dokonanym. W dyskusjach w Koszalińskim Przedsiębiorstwie Budowlanym znaleziono na to odpowiedź. Lepsza organizacja pracy. Uprzemysłowienie na wielką skalę. Dyskusja nad wprowadzeniem zasad uprzemysłowienia przypadła na schyłek 1962 roku. W roku 1963 przygotowano się do wprowadzenia tej nowej metody, rewolucjonizującej budownictwo. Co roku podwajał się wskaźnik — rzecz uchwytna w statystykach. Procentowo wyglądało to tak: rok 1962 — sześć procent prac na budowach wykonywanych metodą przemysłową. Rok 1963 — dwanaście procent. Rok 1964 — 23 proc. Plan na rok 1965 zakłada — 46 procent uprzemysłowienia.

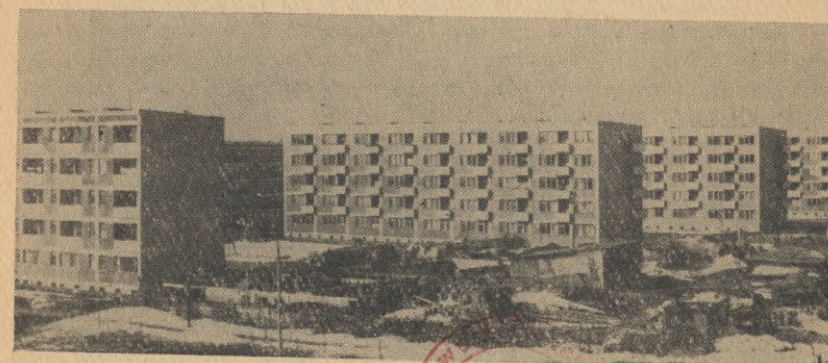
Rok 1965 stał się nową datą w historii budowy Koszalina. Poprzednio rozpoczęto i zakończono budowę eksperymentalnych bloków w Sianowie i na osiedlu przy ul. Powstańców Wielkopolskich budowanych w cyklu jednorocznym: historia budowy domu mieści się w obrębie 365 kalendarzowych dni. Zdobyto niezbędne doświadczenie i obecnie na rozległej łączce,

po drugiej stronie kompleksu bloków przy ul. Władysława IV postawiono pierwsze baraki, wytycza się pierwsze drogi prowadzące na nowy, wielki plac budowy: tak zwane osiedle „Północ III”.

Zapewne, ta sprawa kluczowa dla wyglądu koszalińskich placów budowy nie jest wcale łatwa do przeprowadzenia. Istnieje cały łańcuch zależności między najrozmaitszymi, z pozoru nieraz odległymi od siebie zjawiskami. Uprzemysłowienie, postęp techniczny, to — w pierwszej fazie duże nakłady inwestycyjne: trzeba kupować nowe maszyny, wcale nie tanie. Trzeba dążyć do takiej organizacji pracy, aby te maszyny nie próżnowały. Trzeba przyuczyć do ich obsługi robotników — a muszą to być wysoko wykwalifikowani fachowcy. Maszyna nie tylko ułatwi człowiekowi pracę. Ona zmienia również jego stosunek do samej pracy, wpływa na różnicowanie się środowiska robotniczego, wpływa na wymieranie pewnych zawodów i powstawanie nowych: zamiast pomocnika — specjalista orientujący się w procesach, dzięki którym powstaje idealnie gładka ściana prefabrykatu.

A że w „łańcuchu zależności” jedne ogniwa są silniejsze, inne słabsze — nie wszystko jeszcze na koszalińskich budowach jest tak jak należy. Zawodzi czasem w praktyce przemysłowy i słuszny w teorii plan, zdarzało się i tak, że reakcja robotników na stopniową mechanizację pracy na budowie była dalekim i słabym echem reakcji owych angielskich tkaczy, zagrożonych przez maszyny. Tamci niszczyli maszyny, które pozbawiały ich pracy i chleba, ci sarkają, bo maszyna — zmusza ich do nauki. A w kraju ludzi kształcących się nie wszystkim nauka przychodzi łatwo.

Koszalińskie Przedsiębiorstwo Budowlane powstało dziewięć lat temu, dokładnie 1 lipca 1956 roku. Nazywało się wtedy Ko-



Widok na dzielnicę Koszalin - Północ

Fot. E. Pelczarowa



szalińskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego i miało w swej pieczy cały wachlarz rozmaitych usług. Właściwy schemat organizacyjny i profil produkcyjny przedsiębiorstwa kształtować się rozpoczął od 1963 roku, gdy w ramach Koszalińskiego Zjednoczenia Budownictwa bardziej prawidłowy układ działania pozwolił na bardziej szczegółową specjalizację i podział zadań. Obecnie KPB prowadzi budowę domów mieszkalnych, szkół, ośrodków zdrowia, przedszkoli, szpitali w Koszalinie i powiecie koszalińskim oraz na terenie całego powiatu sławieńskiego. Powstanie Zjednoczenia, a następnie wyspecjalizowanych przedsiębiorstw budownictwa wiejskiego i przemysłowego, pozwoliło na jeszcze pełniejsze skierowanie mocy produkcyjnych przedsiębiorstwa na realizację jego odpowiedzialnych zadań.

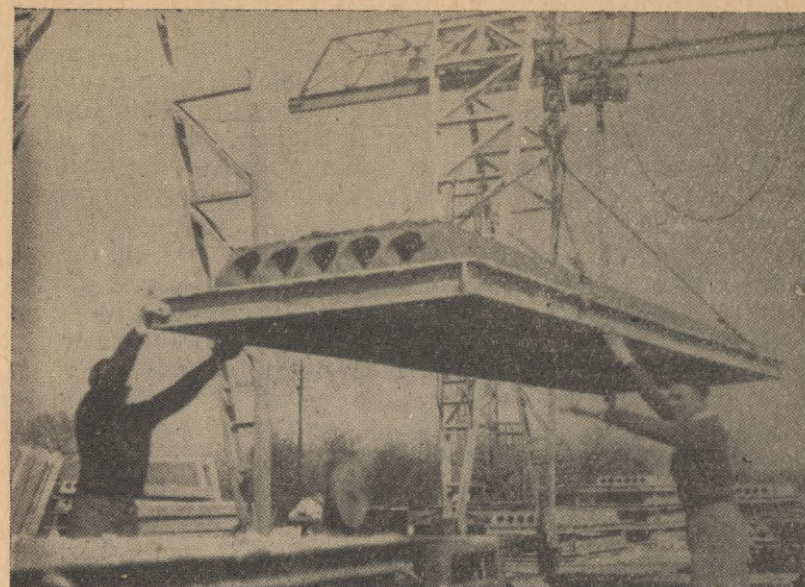
Notatka pojawia się w gazecie w sierpniu 1956 r., właśnie wtedy, gdy młode przedsiębiorstwo sadowiło się na dobre na swoim gospodarstwie — rozrzuconych po mieście licznych budowach. Notatka nosi tytuł „Cel — 841 izb”, bo tyleż planowano na rok 1956. Zaczyna się zaś jak przekaz z lat bardzo odległych:

„Już w bieżącym miesiącu wykonany zostanie zespół domów przy ul. Zawiszy Czarnego, do połowy pokrytych dachówką. Ale nie na wszystkich budowach praca przebiega rytmicznie, zgodnie z planem. Trudności w zaopatrzeniu w materiały budowlane stwarzają wiele nieprzewidzianych przestojów. Np. budowę bloku przy ul. Mickiewicza wstrzymuje niedostarczenie przez ZBM Szczecin elementów więźby dachowej. Wiele trudności powoduje również brak kompletnych dokumentacji, które budowy mają otrzymywać z DBOR. Np. dla budowy „Delikatesów” przy zbiegu ulic Zwycięstwa i Słowackiego.

Mimo trudności budowa domu przy ul. Gwardii Ludowej (róg Zwycięstwa) postępuje naprzód. Termin zakończenia robót — grudzień br., lecz kierownik tej budowy planuje oddanie bloku już 15 października.

I jeszcze jedna trudność — tym razem nie spowodowana przez żadne przedsiębiorstwo czy instytucję. Ciągłe deszcze powodują nie tylko niską frekwencję na plaży w Mielnie, ale i bardzo opóźniają roboty przy budowie nowego Koszalina...”

Hej, łaż się w oku kręci, chciałoby się melancholijnie westchnąć. Nie tylko dlatego, że obecnie potroiła się liczba izb oddawanych corocznie przez budowlanych i nie dlatego, że miło jest poczytać o kłopotach z dokumentacją dla „Delikatesów”, kiedy od niepamięci przywykliśmy wstępować tam po zakupy. Także i dlatego, że nie zmieniły się trudności, przeszkody i kłopoty, stare — widać — jak samo budownictwo. Dostawy materiałów budowlanych, napływających z różnych stron Polski — a raczej rzec by trzeba: „opóźniających się...”, i — uza-



Na budowlanym poligonie

Fot. E. Pelczarowa

leżnienie od ciągłych kaprysów aury. Koszalińscy hodowcy ziemniaka pobierają dywidendę od klimatu — w bilansie dywidenda ta powinna wyrównywać stratę budowlanych. Ale że rzeczywistość jest od algebraicznych obliczeń odległa — prowadzenie fabryki pod gołym niebem jest uciążliwe. Zimą przy kociołkach z koksem z trudem ogrzewają się zgrabiące ręce, dżdżyste lato również nie jest łaskawe dla budowniczych. Roboty wykończeniowe, prowadzone zimą mogą latem ujawnić wiele usterek, na które wyrzekają mieszkańcy nowych domów i które równym utrapieniem są dla tych, którzy te domy wznosili. Ich ambicją jest budowanie jak najpiękniejszych i — jak najlepszych domów. Zadowolonym można być przecież tylko z roboty wykonanej rzeczywiście fachowo.

Właśnie. Fachowość. Lata istnienia Koszalińskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, to nie tylko tysiąc i jeden problemów z planami, dostawami, jakością, unifikacją, typizacją i koncentracją, nie tylko wielkie skoki wskaźników produkcji (rok 1961 — 947 izb, rok 1962 — 2.776 izb), lecz także powolny proces stabilizacji załogi przedsiębiorstwa. Dziś dyrektor Woltman może mówić o swojej, niezawodnej, ustabilizowanej załodze — blisko półtoratysięcznej kadrze budowlanych — przed laty trzeba było zaczynać z niczego, ze ściągany mi skąd się tylko dało ro-



botnikami, majstrami, technikami, inżynierami. Transporty cegły, cementu, maszyn mogły nadchodzić w dowolnych — teoretycznie — ilościach. Z ludźmi było trudniej. I ten nie wymierzony żadnym wskaźnikiem efekt działalności przedsiębiorstwa jest również cenny, może nawet cenniejszy, niż tamte, choć nie stoi za nim żadna nowa izba, żaden procent wydajności czy mechanizacji. Ale bez niego, wszystkie one nie byłyby przecież do osiągnięcia.

Dziś już nie liczy się na żadne „importy” — szkoła przykładowa kształci rocznie stu rzemieślników, własnych wychowanków. Skompletowano w pełni kadrę kierowniczą i to stałą, pełną lokalnego patriotyzmu, osiadłą już w Koszalinie chociaż... bardzo młodą. Cóż, tutaj buduje się to samo i tak samo jak gdzie indziej. Jakość — utrzymuje się na poziomie średniej krajowej; ilość — obliczona jest na wielkość przedsiębiorstwa, choć przerastają ją ciągle potrzeby miasta.



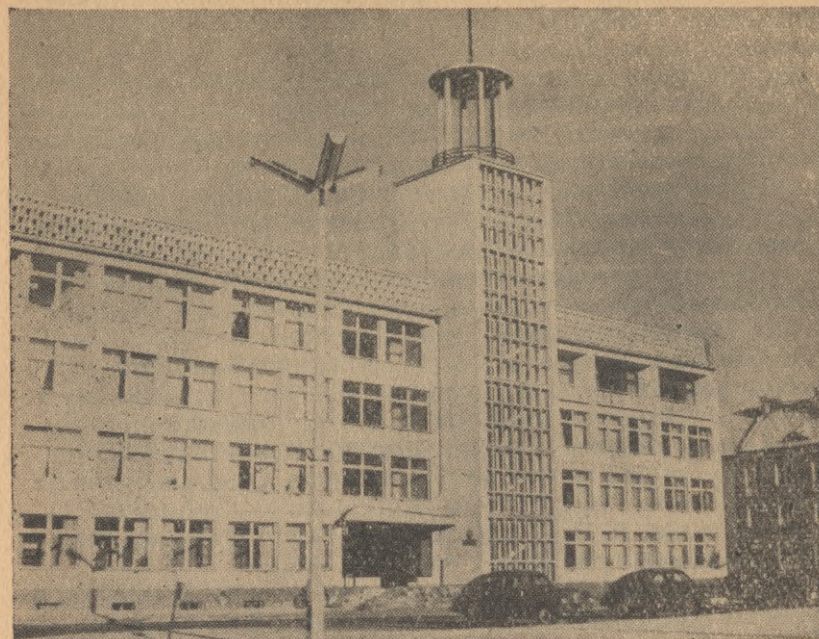
Od KPB nie zaczyna się i na nim się nie kończy koszalińskie budownictwo. Wysiłek wielu załóg i dyrekcji wielu przedsiębiorstw składa się na to, aby co roku setki koszalinian mogły otrzymywać klucze do nowych, własnych mieszkań.

Jest „Miastoprojekt” — Przedsiębiorstwo Projektowania Budownictwa Miejskiego. Tu na rajzbretach projektantów powstają rysunki, na których wielkie bloki i całe osiedla „rozłożone na czynniki pierwsze” istnieją wcześniej, zanim wysiłek budowniczego nada im kształt materialny.

Jest DBOR — Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych — główny — jak dotąd — inwestor w Koszalińskim, dysponujący funduszami na budownictwo i dozorujący właściwego tempa i jakości robót budowlanych. Co, jak, ile i za ile zbudujemy, gdzie i w jakim kształcie — na te pytania bez opinii DBOR nikt odpowiedzieć się nie waży. Inwestorami są ponadto Koszalińska Spółdzielnia Mieszkaniowa ze swoim Zakładem Usług Inwestycyjnych. Nadzór nad budową nowego spółdzielczego osiedla, owej „Północy III”, objął jednak także DBOR.

Naczelnym inżynierem DBOR, inż. arch. Władysław Łukasiewicz nazywa swoją instytucję rzecznikiem społeczeństwa i — nie bez racji, DBOR-owi powierzamy swoje fundusze — część dochodu narodowego i on ma dbać o to, aby te pieniądze wydane były właściwie. W bieżącym roku DBOR dysponuje kwotą 229 milionów złotych.

Z tych złotych będą nowe szkoły, mieszkania, ośrodki zdrowia... Siedemnastu inspektorów nadzoru dba o jakość i tempo



Koszaliński Ratusz

Fot. E. Pelczarowa

robót budowlanych, sanitarnych, elektrycznych. Średnio w Polsce rocznie na inspektora nadzoru norma pracy wyraża się w złotychkach i nieładnie nazywa się „przerób”. Wynosi ona 6,5 miliona złotych. DBOR-owcy inspektorzy w Koszalinie pracują równo dwa razy tyle, co ich koledzy w innych regionach kraju. A taka np. mgr inż. Elżbieta Drużbowa ma „do wydania” w ciągu 1965 roku ponad dwadzieścia sześć milionów złotych. To — rozumiem — kobieta z gestem!

W DBOR pracują jeszcze dwie inne młode kobiety, zaś cała siedemnastka to młodzi inżynierowie, absolwenci politechnik w Poznaniu, Szczecinie i Gdańsku, pełnokwalifikowani fachowcy znakomicie radzący sobie z niełatwymi zadaniami.



Wszystkich moich rozmówców pytałam co uważają za najlepsze wśród zbudowanych przez nich fragmentów nowego Koszalina.

Inż. Łukasiewicz wyliczał: oddział zakaźny Szpitala Wojewódzkiego, żłobek na osiedlu Północ, ratusz, kompleks budyn-

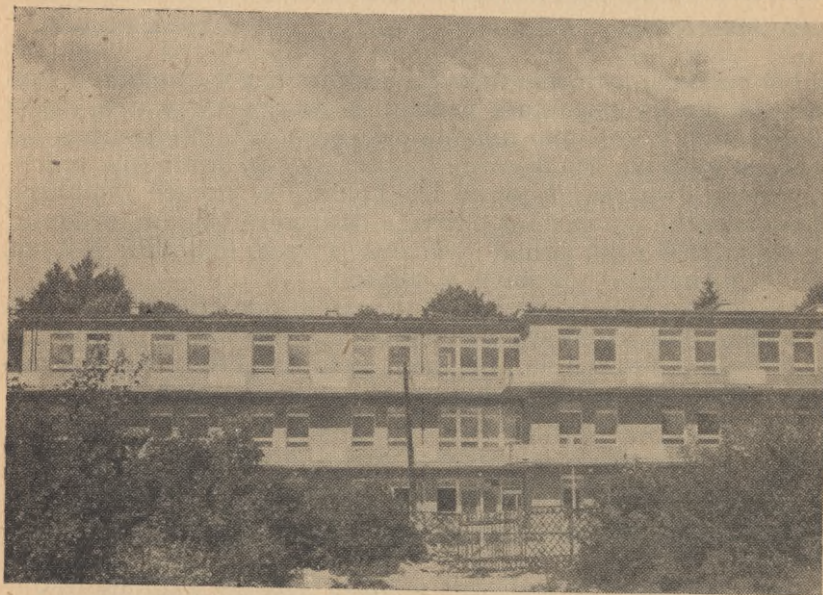


ków Technikum Samochodowego, szkoła w Sianowie, mieszkania na tzw. I bloku Osiedla, tj. przy ul. Bałtyckiej i w okolicach...

Inż. Woltman uznał za takie osiągnięcie rozwój organizacyjny i produkcyjny Koszalińskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, który pozwala na wypełnienie ambitnego zadania: budowa 1 000 izb mieszkalnych w cyklu jednorocznym.

Obaj zaś wiele mówili o trzecim etapie budowy osiedla Północ, o tym wielkim osiedlu spółdzielczym, budowanym metodą oznaczoną w katalogach budowlanych symbolem „WPP” i zaprojektowaną przez warszawskich inżynierów: Mnicha i Kocińskiego. Ta metoda zdała egzamin na budowie słynnego w Polsce eksperymentalnego osiedla na Służewcu w Warszawie, podobne bloki staną i w Koszalinie. Będą może ładniejsze od dotychczas zbudowanych a może tylko do nich podobne. Budowlani jednakową sympatią otaczają wszystkie budowane przez siebie obiekty. Chociaż niektóre z nich przysparzały im mnóstwo zgryzoł w trakcie powstawania, choć nie ze wszystkich zadowoleni są potem ich użytkownicy — ich twórcy zawsze pamiętają, że tkwi w nich spory kawał ich trudu, ich wysiłku, niedospanych nocy i znojących dni.

Wystarczy godzinny spacer po mieście, aby ocenić, co dotychczas zostało zrobione i — ile jeszcze jest do zrobienia. Ko-



Nowy oddział Szpitala Wojewódzkiego.

Fot. E. Pelczarowa

lejne etapy budowlanego natarcia w przyszłych latach poza osiedlem „Północ” wyznaczyć można jaskrawymi punktami na planie miasta. Osiedla przy ul. Karłowicza i Armii Czerwonej. Dzielnica przemysłowo-składowa. Osiedle przy Powstańców Wielkopolskich. I wreszcie w samym śródmieściu: osiedle przy ul. Alfreda Lampe i 1 Maja jest największym placem budowy w śródmieściu od czasów zakończenia budowy „starówki” — w najbliższych latach wyburzyć trzeba będzie stare rudery w rejonach ulic 1 Maja, Związku Walki Młodych, Dzierżyńskiego. Zastąpią je nowe kolorowe bloki i będzie to prawdziwie wielkomiejski fragment śródmieścia Koszalina.

Można o tej przyszłości mówić z pewnością bardziej niezachwianą, niż przed dziesięcioma laty, gdy rozpoczynała się wielka budowa Koszalina.

W ciągu tych lat zmieniły się metody i formy budownictwa, stało się ono z rzemiosła — przemysłem.

Wyrosło miasto i rośnie nadal.



## Dorobek kulturalny

**W** WARSZAWIE rozprawiano o tym poważnie, mówiono „biała plama” i rozkładano ręce. Stronami, niekiedy opowiadano o Koszalinie anegdoty, świadczące — jak się wydawało — o absurdalnej sytuacji tego wojewódzkiego miasta, któremu brakowało zarówno instytucji, upowszechniających zdobycze kultury, jak i ludzi, którzy mogliby w tej dziedzinie cokolwiek zrobić.

Na domiar nie istniały w mieście jakiejkolwiek tradycje w tej dziedzinie, bo i kiedy miały się one ukształtować...

Placówki kulturalne były i miastu i województwu konieczne, by pomagać w przyspieszeniu procesów integracyjnych.

Największy paradoks w tej dziedzinie polegał na tym, że miasto było autentycznie ubogie we wszelkie zasoby, nie posiadało przemysłu, potrzeby w budownictwie mieszkaniowym zwiększały się z roku na rok. Gdzie, na jakich zasadach, organizować tu placówki kulturalne?

Gdyby zapaleńcy i przedstawiciele władz liczyli zamiary na możliwości — do tej pory niezbyt wiele osiągnąć mogli byśmy na tym polu zliczyć. Najskuteczniejszą metodą okazało się działanie wbrew wszelkim warunkom i możliwościom. Tak powstała pierwsza i najpoważniejsza placówka — Bałtycki Teatr Dramatyczny. Bez własnego kąta, bez własnej sceny, zaplecza, po pierwszej, inauguracyjnej premierze „Ślubów pannieńskich” Fredry w lutym 1954 roku, zespół aktorski ruszył w teren starym samochodem ciężarowym. Koszalin — miał być bazą teatru. Terenem działania — całe województwo.

Władze miasta stanęły wówczas przed poważnym problemem: gdzie ulokować na stałe owo przedwczesne dziecko, potrzebne, kochane, ale jakże kłopotliwe! Stary, poewangelicki kościół, nadmiernie wprawdzie zniszczony, zdecydowano adaptować na stałą siedzibę teatru. Rozpoczęły się nie kończące się kłopoty z planami, projektami, wykonawcami. Roboty, związane z przebudową gmachu, przewlekały się w nieskończoność, a zespół aktorski pod kierownictwem niezmor-

dowanej Ireny Górskiej przygotowywał premierę za premierą. Poza polskim dramatem mieszczańskim sięgnięto do klasycznej komedii Fredry, Moliера, wystawiono z dużym sukcesem Shawa. W Koszalinie występowało w sali teatralnej Wojewódzkiego Domu Kultury, wynajmując ją na określoną ilość przedstawień. Potem rozpoczynała się wędrówka po województwie i poza jego granicą, w pogoni za widzami, za wykonaniem planu.

Nowy etap pracy rozpoczął się z chwilą otwarcia gmachu teatru. Dyrektorem Bałtyckiego Teatru Dramatycznego był wówczas Tadeusz Aleksandrowicz, który na pierwszej własnej scenie, stałej siedzibie teatru, wystawił dramat Juliusza Słowackiego „Fantazy”. Było to niemałe zamierzenie artystyczne, zwłaszcza przy dosyć skąpych siłach aktorskich. A jednak przedstawienie można było nazwać sukcesem zespołu. Zaczętkowało ono wielką klasykę na scenie koszalińskiego teatru. Słowacki, Szekspir zjednywali teatrowi widzów w latach następnych. Realizacje sceniczne sztuk tych autorów związane są z sukcesami Bałtyckiego Teatru Dramatycznego na festiwalach ogólnokrajowych.

Warto dziś przypomnieć, że właśnie przedstawienie „Wieczoru Trzech Króli” Szekspira zwróciło uwagę na nasz teatr



Gmach BTD

Fot. E. Pelczarowa



na pierwszym Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu. W roku następnym za „Balladyne” Słowackiego i „Hamleta” Szekspira BTD otrzymał nagrodę na tymże festiwalu. Przedstawienie „Kordiana” było wydarzeniem na festiwalu w Kaliszu i przyniosło nagrody jego realizatorom: Janowi Maciejowskiemu i Marianowi Boguszowi. Dopiero obecny dyrektor i kierownik artystyczny Bałtyckiego Teatru Dramatycznego Lech Komarnicki przełamał ową „tradycję” klasyki i zawiózł na festiwal do Katowic dwa przedstawienia sztuk autorów współczesnych, aby w obu przypadkach przywieźć nagrody.

Po dziewięćdziesięciu czterech premierach na scenie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego możemy dziś mówić o jego poważnym zaangażowaniu artystycznym i ideowym, o powiązaniu z województwem, które stało się terenem systematycznych występów teatru. Coraz systematyczniej obsługuje teatr ośrodki wiejskie, dowozi mieszkańców wsi — a szczególnie pracowników państwowych gospodarstw rolnych — na przedstawienia. Wprowadzono stałe dni grania w Koszalinie i na scenie słupskiej.

**O**D ANEGDOTYCZNEGO zdarzenia rozpoczęli tutaj swoje bytowanie młodzi artyści plastycy. Kiedy w 1954 roku przyjechali do Koszalina na stypendium osiedleńcze Ministerstwa Kultury i Sztuki — powiedziano im, że malarzy w mieście dosyć, nowych nie trzeba. Kto się krył wówczas pod tym mianem — nie odgadli do dzisiaj. Znaną natomiast postacią w mieście był człowiek, wykonujący na zamówienie portrety dostojników państwowych i noszący popularne miano „Wański-chudoźnika”. Doszli więc do wniosku, że jednak w Koszalinie zostaną, bo ich praca twórcza może się przydać zarówno miastu, jak i województwu. I przydała się.

Ich prace z dziedziny architektury wewnątrz nie zawsze znajdowały w pierwszych latach entuzjastycznych wykonawców. A jednak powoli przyjmowano te projekty, zmieniające do niepoznania charakter wewnątrz instytucji i placówek usługowych. I znów, podobnie jak w przypadku teatru, działalność szczupłego w owych czasach grona artystów plastyków zaczęła powoli rozciągać się poza Koszalin, na teren naszych miast powiatowych.

W okresie, kiedy w Koszalinie organizowano pierwsze wystawy prac malarskich, wystawy, o których znów zaczęły krążyć anegdoty, nasi plastycy, jak i ci, projektujący w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, zaczęli wpływać na zmianę naszych gustów, upodobań.

Rozpoczął wkrótce działalność Oddział Związku Polskich Artystów Plastyków. On to organizował doroczne wystawy malarstwa i grafiki w Koszalinie, wystawy indywidualne, za pośrednictwem Związku artyści plastycy brali udział w wystawach poza Koszalinem, w licznych spotkaniach ze społeczeństwem i młodzieżą.

Wraz z upływem lat zwiększała się liczba członków ZPAP. Osiedlali się tu młodzi obsalwenci wyższych szkół plastycznych z Warszawy, Krakowa, Poznania i Torunia. I byłoby może długo jeszcze pracowali tutaj — nie zauważeni — gdyby nie plener. Plener, którego sami byli inicjatorami, organizatorami, twórcami. Plener, który zwrócił uwagę artystycznych środowisk kraju i wielu ośrodków z zagranicy na — Koszalin.

W Osiekach, w ośrodku wypoczynkowym, udostępnionym przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, spotkali się — dwa lata temu po raz pierwszy — najwybitniejsi malarze z Polski. Byli też malarze z Czechosłowacji i Węgier. Rezultat tego spotkania, a raczej dwutygodniowego pobytu, to ponad trzydzieści obrazów, jakie uczestnicy Pleneru zostawili miastu, do organizującej się galerii malarstwa współczesnego. W roku ubiegłym Plener miał charakter szerszy, spotkali się na nim bowiem zarówno malarze, jak i teoretycy sztuki i naukowcy. Trzy tygodnie upłynęły na pracy twórczej,



Otwarcie wystawy malarstwa podczas II Pleneru Koszalińskiego.

Fot. J. Piątkowski



dyskusjach. Znow kilkadziesiąt obrazów zostało przekazanych dla galerii malarstwa.

Plenery stają się już tradycją, a ich znaczenie o wiele wybiega poza skromne założenia pierwszego okresu. Jest to niewątpliwie najpoważniejsza z imprez artystycznych i kulturalnych, organizowanych w Koszalińskim, mająca już swoją wysoką ocenę nie tylko w naszym kraju.

**N**A SZCZEGÓLNĄ uwagę w naszym życiu kulturalnym zasługuje także działalność Koszalińskiej Orkiestry Symfonicznej. Powstała ona również na przekór wszelkim warunkom, kiedy nie okrzepł jeszcze nawet ani organizacyjny, ani materialnie Bałtycki Teatr Dramatyczny. A jednak — placówka ta przetrwała wiele przeciwności i trudności, dźwiga się też powoli artystycznie pod kierownictwem Andrzeja Cwojdzńskiego. Jej działalność w Koszalinie, współpraca z Koszalińskim Towarzystwem Muzycznym im. H. Wieniawskiego, organizowane koncerty muzyki kameralnej w Wojewódzkim Domu Kultury — roszą jak najlepsze nadzieje.

**W**ŁAŚCIWIE — to nam się wiedzie. Jeszcze kilka lat temu nasze placówki kulturalne i szczupłe środowiska twórcze przeżywały pewien kryzys, związany z brakiem odpowiednich warunków do działalności. Kilka lat temu nasi literaci drukowali swoje utwory głównie w koszalińskiej prasie codziennej, czasem w tygodniku literackim. A oto, proszę, powoli można zapełniać półkę pozycjami książkowymi, których autorami są ludzie, mieszkający wśród nas: Czesław Kuriata, Marta Aluchna Emelianow, Zbigniew Kiwka, Anatoliusz Jureń, Zbysław Górecki, Stanisław Misakowski, Gracjan Fijałkowski, Zygmunt Zelwan. Doroczne konkursy literackie organizowane przez Wydział Kultury Prezydium WRN w Koszalinie, przyniosły jednak plon.

Być może, że wielu ludziom wyda się to jeszcze mało, ale przecież w Koszalinie nigdy dawniej nie było żadnych — poza kinem — placówek kulturalnych, nikomu nie śniło się nawet o środowiskach twórczych.

Wzbogaciliśmy się niesłychanie w ciągu owych ostatnich dziesięciu lat. Placówki kulturalne działają nie tylko w naszym mieście, ale służą — i to bardzo słusznie — całemu województwu. Na takiej zasadzie powstał przed pięciu laty teatr propagacji „Dialog”.

**W**SZYSCY wiedzieli, że mamy w województwie dobrych recytatorów, którzy co roku przywozili z eliminacji centralnym liczne nagrody. Ale ci ludzie pokazywali się na scenie jedynie w czasie eliminacji, niekiedy podczas jakiejś akademii. Jak wykorzystać ich, by sztuka recytowania stawała się sztuką najbardziej powszechną w naszym mieście, w naszym województwie?

Na to pytanie odpowiedziała czynem Henryka Rodkiewicz, montując przy Wojewódzkim Domu Kultury estradę poetycką. Pierwszy program, poświęcony twórczości Juliusza Słowackiego i pierwszy zarazem sukces zespołu — nosił tytuł „Godzina myśli”. Po tym wieczorze poezji przysła kolej na sztukę Borcherta „Pod drzwiami” i tym razem w reżyserii Henryki Rodkiewicz, twórczyni i kierownika artystycznego Teatru Propozycji „Dialog”, skupiającego miłośników poezji, ludzi różnych zawodów. Ci ludzie potrafili dać piękne widowisko, złożone z fragmentów dramatu antycznego („Prometeusz skowany” i „Antygona”) i „Obrony Sokratesa” oraz niemniej pięknie wystawić „Różę” Stefana Żeromskiego.

Zarówno program antyczny, jak i „Róża” spotkały się z wysoką oceną na ogólnopolskich festiwalach teatrów poezji. Praca „Dialogu”, jego występy poza Koszalinem, jego inspiracja w powstawaniu teatrów żywego słowa na terenie naszego województwa — nie były niedostrzegane. Oto w nagrodę za tę działalność Ministerstwo Kultury i Sztuki po raz drugi powierzyło Koszalinowi zaszczyt organizowania centralnego przeglądu Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Poezji.

Każda z tych placówek i każde z wymienionych tu środowisk zaczynało od przysłowiowego zera. Wszyscy mają na swoim koncie wyrazy uznania za osiągnięcia artystyczne, wszyscy zwrócili na siebie uwagę nie tylko w województwie. O Koszalinie nikt dzisiaj nie ośmieli się mówić, że to провинка, że biała plama na mapie kulturalnej. Dorobek placówek artystycznych i środowisk twórczych jest niezaprzeczalny.



## Zespół ośmiu zawodów

Zespół Szkół Zawodowych w Koszalinie.

Pod tą nazwą kryje się sześć szkół. Ośiem specjalności i zawodów, pięćdziesiąt osiem oddziałów szkolnych — z tego osiemnaście przypada na zasadnicze szkoły zawodowe.

Mowa jest o popularnym w Koszalinie gmachu przy ulicy Alfreda Lampego 30: o Zespole Szkół Zawodowych nr 1, w którym szkołą najważniejszą jest Technikum Ekonomiczne. Poza nią jest jeszcze Technikum Ekonomiczne dla pracujących — oddział stacjonarny i zaoczny; Zasadnicza Szkoła Handlowa — dzienna i wieczorowa, dla pracujących; Zasadnicza Szkoła Gastronomiczna; Zasadnicza Szkoła Maszyn Biurowych.

Absolwenci Zespołu są specjalistami w dziedzinie ogólnoeconomicznej, handlu, ekonomiki przemysłu, administracji. Są sprzedawcami w sklepach różnych branż, kucharzami, kelnerami, maszynistkami w biurach i urzędach.

1.380 uczniów (w tym najwyżej stu dwudziestu chłopców!) plus 620 słuchaczy oddziałów dla pracujących. Kombinat-gigant.

W dodatku gigant, mający swą długą i bujną historię.



Barbara Lipińska, Eugeniusz Strycha, Halina Pienutówna, Aniela Szczerba, Roman Sierociński, Genowefa Żądło, Halina Buschke. To nazwiska nauczycieli, organizujących pierwszą w Koszalinie szkołę zawodową — w roku 1945.

Nazywała się ona: Gimnazjum Kupieckie i mieściła w zwykłym domu mieszkalnym u zbiegu ulic Szymanowskiego i Traugutta. W połowie 1946 roku Gimnazjum znalazło kąt w budynku Szkoły Podstawowej nr 1 — i w tych „polowych” warunkach w 1946 roku pierwszą maturę na Ziemi Koszalińskiej zdawało 14 abiturientów. Od nowego, 1946/1947 roku szkolnego szkoła przeniosła się do obecnie zajmowanego gmachu przy ulicy Alfreda Lampego.

Nazywała się już wtedy „Państwowe Gimnazjum i Liceum Handlowe” i nauka w niej szła starym, przedwojennym trybem: cztery lata gimnazjum, dwa lata liceum. Zwiększyła się liczba uczniów — ze 186 do 198. Aby dogonić czas wojennych opóźnień, niektóre klasy przerabiały w ciągu roku program dwuletni, „przerośnięci” uczniowie i uczennice uzupełniali swe wykształcenie. Dyrektorem szkoły do roku 1948 był Stanisław Piestrak.

Z chaosu pierwszych lat, z pionierskiego trudu nauczycieli, którzy w nienormalnych warunkach prowadzić musieli normalną pracę pedagogiczną, wyłaniała się ta szkoła jak inne, jej podobne. Pierwsze polskie szkoły po latach wojny i okupacji, pierwsze polskie szkoły na ziemiach Polsce odzyskanych.

W roku 1947/1948 szkole przybyła druga specjalność: ekonomika przemysłu, zaś w roku 1949/1950 jeszcze jedna. Widomym znakiem rozwoju była kolejna zmiana nazwy na „Państwowe Gimnazjum Handlowe i Liceum Administracji Gospodarczej”.

W roku 1951 szkoła została podzielona na dwie odrębne: Technikum Handlowe Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Technikum Finansowe Ministerstwa Finansów. „Handłówka” pozostała u siebie, Technikum Finansowe znalazło swą siedzibę przy ul. Estkowskiego.

Do roku 1951 opuściło gmach przy ul. Lampego 131 absolwentów. Technikum Handlowe miało ich 222, Technikum Finansowe — 347. Powiększyła się liczba absolwentów, obejmujących coraz odpowiedzialniejsze funkcje w instytucjach administracyjnych i handlowych Koszalina, powiększała się liczba uczennic (bo od początku do dziś dnia to szkoła przede wszystkim „damska”) chodzących po Koszalinie w miękkich, aksamitnych czapkach uczniowskich. Rosły obie szkoły, przybierało wyposażenia pracowni i klas, przybierało specjalności.

Rok 1955 to nowe zmiany. Oba technika połączyły się w jedno — Technikum Ekonomiczne, podlegające bezpośrednio Kuratorium Okręgu Szkolnego. Już wtedy obok Technikum powstawać zaczęły zasadnicze szkoły zawodowe, uzupełniające i wzbogacające profil szkoły. I wreszcie — w czasach najnowszych, w roku 1963, nastąpiło połączenie ich wszystkich w jeden zespół szkół zawodowych. Zespół numer I, mający pełne prawo do tej dumnej rzymskiej jedyńki, oznaczającej pierwszeństwo wśród dziewięciu zespołów i szkół zawodowych naszego miasta.

W roku 1964 Technikum Ekonomiczne opuściło 121 absolwentów, naukę w szkołach zasadniczych ukończyło 341 uczniów. W tym roku 120 absolwentów ze średnim wykształce-





Nowoczesny budynek szkoły Tysiąclecia.

Fot. E. Pelczarowa

niem, dobrze przygotowanych do zawodu, otrzyma świadectwa dojrzałości. Większość podejmie pracę zawodową, kilkoro wybiera się na studia...



Z pojęciem szkoły wiąże się jeszcze ciągle w naszej świadomości obraz ustawionych w rzędy drewnianych ławek, tablica, pulpit dla nauczyciela, uczennice w granatowych fartuskach, śledzące tok wykładu nauczyciela, przepisujące z tablicy wzory matematyczne i tematy lekcji polskiego.

Takie obrazy spotyka się także i w Zespole Szkół Zawodowych. Ale częściej można spotkać inne.

W kącie duża lodówka, rząd kuchenek gazowych i piekarników, stolnice. Zagniatają ciasto dziewczęta w białych fartuchach i twarzowych czepeczkach. Temat dzisiejszej lekcji: „ciasto biszkoptowe”. Przygotowywane według wszelkich, najsurowszych przepisów i proporcji książki kucharskiej. Jesteśmy bowiem w pracowni „technologii żywienia zbiorowego” Zasadniczej Szkoły Gastronomicznej. Nie tylko zresztą uczą się tu dziewczęta: chłopcy w olbrzymich kucharskich czapach próbują przygotowywanych przez siebie potraw.

W tym roku Zasadniczą Szkołę Gastronomiczną opuszczają pierwsi kucharze i kelnerzy. Koszalińska gastronomia mieć z nich będzie na pewno pożytek.

W innej sali ogłuszający stukot. Naukową metodą, z zachowaniem wszelkich prawideł, uczą się biegle i bezbłędnie pisać na maszynach uczennice Zasadniczej Szkoły Maszynistek Biurowych. Ten kierunek nauki cieszy się wielką popularnością i dyrekcja Zespołu planuje rozszerzenie pierwszej klasy ZSZ do sześćdziesięciu uczennic.

I tak jest ciągle, podczas wędrówki przez szkołę — nigdy nie wiadomo, na jaką scenę, bardziej czy mniej odbiegającą od sztywnego schematu, się natrafi.

Bo to jest nauka specjalna. Nauka zawodu. Podstawowe znaczenie w procesie nauczania mają zajęcia praktyczne, oswajanie z przedmiotami, z maszynami. Dbą się o jak najściślejszy związek nauki z praktyką, szkoły z życiem. Szkoła zawiera z zakładami pracy, w których czekają miejsca na przyszłych absolwentów, umowę o praktyczną naukę zawodu. Aby ta umowa była jak najlepiej wypełniona, powołana jest specjalna komisja, złożona z przedstawicieli dyrekcji, np. MHD i grona nauczycielskiego szkoły. Szkoła kontroluje praktyki, odbywane przez uczniów, zbiera się coraz bogatsze doświadczenie, obfitsze materiały, służące do udoskonalania metod nauczania.

Wśród sześćdziesięciu nauczycieli, wykładających w Zespole Szkół Zawodowych przedmioty ogólne i zawodowe, wielu rekrutuje się z zakładów pracy, np. z Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, z banków. Oni przekazują uczniom nie tylko zasady teoretyczne, ale także swoje duże doświadczenie praktyczne. Nic więc dziwnego, że na dużym wykresie, obrazującym wyniki nauczania poszczególnych klas Technikum Ekonomicznego i szkół zasadniczych wysokie słupki wyciągają się coraz wyżej. Nic więc dziwnego, że Kuratorium Okręgu Szkolnego uznało Zespół Szkół Zawodowych za szkołę wiodącą, że dzięży ona pierwsze miejsce wśród szkół zawodowych całego województwa. A w tej szkole piątka na świadectwie absolwenta to nie tylko dowód jego osobistych zdolności i pilności okazanej, podczas lat nauki. To także gwarancja dobrego wypełniania przez absolwenta obowiązków zawodowych, przynoszenia pożytku naszej gospodarce. Dyrektor Wojciechowski opowiada z satysfakcją, że wielu byłych uczniów szkoły zajmuje dziś wysokie stanowiska w administracji, w radach narodowych, w przedsiębiorstwach handlowych.

Grono pedagogiczne liczy wielu członków rzetelnie zasłużonych dla powstania i rozwoju szkolnictwa w Koszalinie. Nie tylko uczniom Technikum Ekonomicznego, ale także wielu

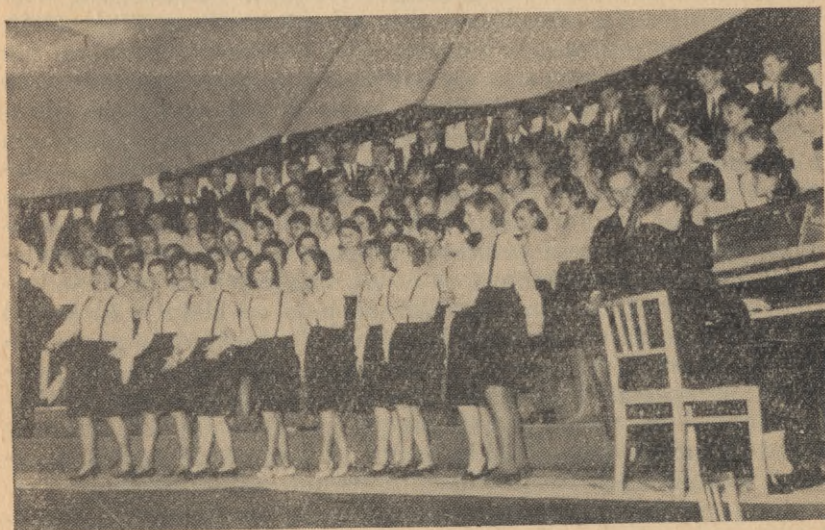


uczniom i wychowankom innych szkół koszalińskich — znana jest wysoka, szczupła postać Wacława Witczyńskiego, pedagoga i zasłużonego wychowawcy, przyjaciela młodzieży. Umiejętego nie tylko przekazać w klarownym wykładzie solidną porcję wiedzy, lecz także pochylić się z troską nad każdym, najdrobniejszym kłopotem młodzieńczym.

Polonistka Zofia Harmacińska wychowała już dwadzieścia roczników uczniów koszalińskich szkół podstawowych i średnich. Umie wpoić swym wychowankom nie tylko miłość i znajomość ojczystej literatury i ojczystego języka, lecz również zamiłowanie do logiki i porządku, obowiązkowości, odpowiedzialności.

Jedną z organizatorek polskiego szkolnictwa w wyzwolonym Koszalinie jest także Wanda Woydyłło. Bez rozluźniającej szkolną dyscyplinę pobłażliwości, ale z głębokim zrozumieniem i serdecznością potrafi ona pokierować kolektywem młodzieży.

A są jeszcze w gronie nauczycielskim inni zasłużeni doświadczeni pedagodzy: Józef Kolibowski, Jan Greinert, Franciszek Szyca... Szacunek i serdeczne wspomnienia, jakie pozostawiają w sercach wychowanków, są dla nich najlepszą zapłatą za lata trudnej pracy kształtowania młodych charakterów, przekazywania im wszystkiego, co najlepsze — solidnej fachowej wiedzy i piękna wzniosłych ideałów.



Chór zespołu szkół zawodowych nr 1 na akademii, na pierwszym planie zespół popularnych „Krystynek”.



Leży przede mną fotografia. Jest jednym ze zdjęć, wykonanych przez uczniów szkoły — członków koła fotografii amatorskiej. Przedstawia zaś szkolne zespoły podczas jakiejś uroczystości. Duży chór — policzyć na zdjęciu nie można dokładnie, ale skądinąd wiadomo, że ma on stu dwudziestu członków. Przed chórem zaś osiem jednakowo ubranych dziewcząt. Śpiewają „Krystynki”, popularny zespół wokalny, który narodził się i rozwija pomyślnie właśnie w Technikum Ekonomicznym. Niestrudzony nauczyciel śpiewu Artur Krzyżostaniak prowadzi oprócz chóru i „Krystynek” jeszcze jeden zespół: „Podlotki”, złożony z uczennic klas pierwszych, które zastępują starsze koleżanki, gdy te pożegnają się ze szkolną estradą. Zostaje w ten sposób zachowana ciągłość tradycji „rozśpiewanej szkoły”. Bardzo często mi się zdarza, że różni ludzie, różnych zawodów i zainteresowań wszczynają dyskusję: „te „Filipinki” takie przereklamowane — a ja powiem, że nasze „Krystynki” o wiele, wiele lepsze od nich...”. Lepsze? Gorsze? To do prawdy nie ma znaczenia. „Krystynki” są nasze, koszalińskie, a że jeszcze na domiar nieźle śpiewają — są lubiane i okłaskiwane.

Czternaście zespołów zainteresowań i cztery koła przedmiotowe pracują, aby młodzieży dać to, czego potrzebuje — uzupełnić zdobywaną na lekcjach wiedzę i jednocześnie mądrze, z pożytkiem pozwolić spędzić wolny czas. Od kół: szkutniczego, operatorów filmowych, introligatorskiego — aż po koło zgłębiające problematykę ekonomiczno-socjologiczną i księgowości. Jak zaś lubiane są przez młodzież te formy zajęć, które im organizuje szkoła — świadczy najlepiej cyfra uczestników: 765. Połowa wszystkich uczniów wszystkich szkół, skupionych w Zespole. A dodać trzeba, że ponad sześćdziesiąt procent uczniów to dojeżdżający — po kilka i kilkadziesiąt kilometrów dziennie — do szkoły.



I oto proszę, jak daleko odeszliśmy od protoplasty dzisiejszego Zespołu Szkół Zawodowych: od owego „Gimnazjum Kupieckiego”, którego nazwa była jakby żywcem przeniesiona z czasów pani Latter i najpopularniejszego z polskich kupców — Stanisława Wokulskiego. Taka jest naturalna ewolucja prawie wszystkich szkół zawodowych w Koszalinie. Trudno tu mówić zresztą o poszczególnych szkołach — tworzą one zespoły: od zasadniczych szkół, przypoasabiających do zawodu — aż do



uczelni półwyższych — jak beniaminek koszalińskiego szkolnictwa, Państwowa Szkoła Techniczna, w młodzieżowym języku nazywana sympatycznie „Pestką”.

Zawód, konkretny fach — staje się coraz potrzebniejszy młodym ludziom w rozwijającym się młodym Koszalinie. To zrozumiałe i zgodne jak najbardziej z kierunkiem przemian całego naszego kraju. Szkoły zawodowe, dające pełne wykształcenie, przygotowujące w pełni sprawnych do pracy taylorów wysunęły się na czoło całego systemu szkolnictwa w Polsce. Zaś wśród szkół koszalińskich honorowe miejsce zajmuje Zespół Szkół Zawodowych nr I.

---

## Ludzie naszego miasta

### KOSZALIN ZE WSPOMNIEN I KOSZALIN DZISIEJSZY

W kampanii wrześniowej był jednym z tych, co podjęli nierówny bój z najeźdźcą. Wzięty do niewoli, osadzony został w obozie jenieckim w Bornem, a potem w obozie pracy w Czar-nem. W 1940 roku skierowany na roboty przymusowe do Koszalina. Próbował ucieczek, pamięta nieludzkie traktowanie więźniów, szczególnie jeńców radzieckich, pamięta też dowody człowieczeństwa i pomoc okazywaną przez niektórych cywilnych Niemców — im, niewolnikom III Rzeszy. Tutaj, w fabryce papieru, a potem w gospodarstwie rolnym w Dobrem, doczekał wyzwolenia. Widział odstępujące wojska butnego kiedyś Wehrmachtu, widział pierwsze godziny w wyzwolonym Koszalinie.

Był pierwszym komendantem powiatowym milicji w Szczecinku — nominację otrzymał 17 marca 1945 roku. Potem pracował w Urzędzie Skarbowym w Koszalinie, potem w Kołobrzegu, wreszcie w roku 1950 przeniesiony został do Wydziału Finansowego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Koszalinie. Tu do dziś pracuje jako kierownik oddziału wymiaru podatków.

Taki życiorys, życiorys, w którym zbiegają się prawie wszystkie wątki polskiej literatury, opisującej lata wojny i pierwsze dni po wyzwoleniu, ma tow. **JÓZEF GĘBKA**, I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR przy Prez. WRN w Koszalinie.

Dwadzieścia pięć lat, pół życia przeżył w Koszalinie. Z tym miastem związanych jest wiele jego złych i dobrych wspomnień — tu zaznał upokorzeń w czasach wojny i radości rzetelnego trudu w czasach pokoju. Tu poznał swą żonę, tu urodziły się i wychowały jego dzieci.

Koszalin ze wspomnień tow. Gębki i dzisiejszy Koszalin to dwa różne miasta. Małe miasteczko, położone głęboko za frontem, do którego wojna dotarła dopiero poprzez opowieści przesiedleńców ze zbombardowanych miast Nadrenii i potem — Prus Wschodnich i dzisiejszy ośrodek wojewódzki, z każdym



dniem się rozwijający, nic ze sobą wspólnego nie mają. Tamten Koszalin odszedł w przeszłość, w historię, czasami powraca tylko we wspomnieniach Józefa Gębki i jego towarzyszy. Przyszłość należy do Koszalina — rodzinnego miasta dzieci tow. Gębki.

Młyńska, Jana z Kolna, Mieszka I, Krzywoustego — to nazwy, które dla młodych koszalinian oznaczają tylko bardziej czy mniej ładne ulice, przy których są zakłady pracy, szpitale, szkoły. Dla tow. Gębki są miejscami dawnych baraków, w których Niemcy koszarowali Anglików, Francuzów, Holendrów, Belgów, Polaków, Rosjan, którzy mieli obowiązek do końca życia pracować dla III Rzeszy. Historia i sprawiedliwość zarządziły inaczej.

### DWADZIEŚCIA LAT

To był czerwiec 1945 roku, gdy z Ministerstwa Aprowizacji w Warszawie wyruszyła na północny-zachód grupa operacyjna z zadaniem zorganizowania warsztatów samochodowych dla ekip terenowych ministerstwa. Warsztaty takie zorganizowała w Koszalinie dziesiątka mężczyzn, wśród których był również tow. **KAZIMIERZ BRZĘKOWSKI**. Od czerwca do września 1945 roku nietypowe samochody zbierane skąd się dał, przechodziły naprawy w warsztacie, mieszczącym się przy ul. Kaszubskiej 1. Gdy zaś władze wojewódzkie przeniosły się do Szczecina, przed grupą „samochodziarzy” stanęła alternatywa: przenieść się również i w Szczecinie zorganizować nową placówkę czy pozostać. Pozostali.

W październiku 1945 roku założyli „Pierwszą Zachodnio-Pomorską Spółdzielnię Mechaników Samochodowych”. Spośród jej założycieli mieszka dotąd i pracuje w Koszalinie już tylko dwóch: Kazimierz Brzękowski i jego brat, Jan. Spółdzielnia poza naprawą samochodów zajmowała się w pierwszym okresie również rzeczoznawstwem — Armia Czerwona i Wojsko Polskie przekazywały jej samochody z demobilu i zdobyte wojennych, które po przeglądach i naprawach oddawano instytucjom cywilnym. Na Pomorzu Zachodnim były wtedy trzy takie placówki: w Szczecinku, Wrocławiu i Koszalinie. Podobną funkcję „motozbytu” na całe Pomorze Zachodnie pełniła Spółdzielnia w stosunku do amerykańskich samochodów z UNRRA, sprowadzanych za pośrednictwem oddziału spółdzielni w Gdyni.

Zacierają się w pamięci — mówi tow. Brzękowski — dobre i złe wspomnienia, dramatyczne i humorystyczne wydarzenia z czasów, kiedy to nie tylko pracy było potrzeba ludziom ale

także i chleba. Jedno jest pewne i o tym się nie da zapomnieć: że spółdzielnia odegrała w rozwoju gospodarczym Koszalina poważną rolę. I gdy już rozrosła się do dużego zakładu produkcyjnego została przekształcona w Fabrykę Urządzeń Budowlanych. W FUB tow. Brzękowski jest kierownikiem wydziału montażu. Długoletniemu pracownikowi zakładu, doświadczonemu fachowcowi załoga powierzyła również odpowiedzialną funkcję przewodniczącego Rady Robotniczej.

Zawodowe zainteresowania tow. Brzękowskiego związane są z zakładem. Jego życiową pasją są samochody i w ogóle wszystko, co ma koła i jeździ. Jest on wiceprezesem sportowym koszalińskiego „Automobilklubu”, jest także wiceprezesem Zarządu Okręgu Polskiego Związku Motorowego. Tow. Brzękowski był także swego czasu znanym w Koszalinie zawodnikiem — rozmaite dyplomy za osiągnięcia w sporcie motorowym są miłą pamiątką. O samochodach rozmawiamy więc długo. Długo też o nowym Koszalinie, który przez dwadzieścia lat tak się nom zmieniał. W tych przemianach jest także częśćka trudu tow. Kazimierza Brzękowskiego.

### KOSZALINIANIN Z WYBORU

Na jednym z rozległych korytarzy Technikum Budowlanego w Koszalinie wisi ścienna gazetka. Aktualna kronika szkolnych wydarzeń. Redakcja, tekst i zdjęcia — sami uczniowie. Zaś wśród tych zdjęć jest takie: otoczony grupą uczniów dyrektor. I podpis — mówiący coś o dyrektorskim oku, które dojrzy wszystko: dobre i złe.

Tak więc, zanim poznałam osobiście inż. **Antoniego CZARNECKIEGO**, miałam możliwość zetknąć się z tym sympatycznym faktem. Uczniowska opinia zresztą nie przesadziła — z dyrektorem Czarneckim gawędzi się łatwo i miło. Tematów wszak nie brakuje. Choćby sama szkoła, a właściwie mozaika rozmaitych szkół, którymi kieruje. Trzyletnia Szkoła Rzemiosł Budowlanych (cztery specjalności zawodowe, 15 oddziałów!), trzyletnie Technikum Budowlane dla absolwentów szkoły rzemiosł, Technikum Drogowe, Technikum Budowlane (dzienne, wieczorowe i zaoczne), Technikum Chemiczne, Państwowa Szkoła Techniczna. W tym roku otwarte zostanie jeszcze 5-letnie Technikum Telewizyjne i zasadnicza szkoła zawodowa, również radiotechniczna. Tak od „ogrodnika terenów zielonych” aż po „elektronika monterów” — w całym wachlarzu zawodów i specjalności — spotkać można uczniów inżyniera Czarneckiego.



Kierowanie tym kombinatem, do którego przynależą jeszcze warsztaty szkolne i internat, wyznając w dodatku — jak inż. Czarnecki — zasadę ścisłego związku nauki z pracą i teorii z praktyką, nie jest łatwe i wymaga wielkiej energii i wiele czasu.

Inż. Czarnecki stosunkowo krótko mieszka w Koszalinie — niespełna trzy lata. Patriotyzm gdański: ścisłe więzy z miastem, w którym dorastał, uczył się, pracował — zamienił na patriotyzm koszaliński. Patriotyzm z wyboru, którego ani przez chwilę nie żałuje. Zdaniem inż. Czarneckiego w Koszalinie atmosfera, klimat międzyludzkich stosunków pomagają w pracy zawodowej, skłaniają do angażowania się w pracę społeczną.

W dziele rozwijania organizacyjnego i dydaktycznego szkoły dyr. Czarnecki liczy na młodych. Młody jest zespół nauczycielski, młodzi są obaj zastępcy dyrektora. Inż. Czarnecki pracuje ponadto w „Miastoprojekcie”, jako rzeczoznawca do spraw konstrukcji stalowych. Traktuje to właśnie jak „uzupełnienie kwalifikacji”. W budownictwie — mówi — coraz wprowadza się coś nowego, musimy naszym uczniom, aby byli rzeczywiście przygotowani do pracy zawodowej, w porę przekazywać zdobycze nauki, wszelkie usprawnienia i nowinki techniczne.

Młodzież pod kierunkiem fachowców spędza wiele czasu na budowach, które będą jej warsztatami pracy, w szkole wykłada również wielu praktyków budownictwa i pokrewnych mu specjalności.

A czy jest jeszcze czas na kultywowanie osobistych zainteresowań, kiedy dyrektorskie oko doglądać musi wszystkiego? Okazuje się, że tak. „Konikami” inż. Czarneckiego są matematyka i cybernetyka i w ogóle wszelkie budowanie.

### „JEGO” ULICA

Kierownika budowy zastał w pokoiku tymczasowego baraku. Na ścianie wisi harmonogram budowy. Mgr inż. **KRZYSZTOF BUDZYŃSKI** może nań popatrzeć jako na historię — budowa tzw. bloku 15 na osiedlu „Północ” dobiega końca i w maju wprowadzą się tu pierwsi lokatorzy.

Mgr inż. Krzysztof Budzyński jest jednym z tych, o których się mówi „młoda kadra”. Mieszka w Koszalinie piąty rok — przybył tu bezpośrednio po ukończeniu studiów na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Poznańskiej w 1960 roku. Na koszalińskich placach budowy konfrontował zdobytą na studiach wiedzę z realnymi warunkami budowania, jakie u nas istnieją. Pierwsze doświadczenia i pierwsze sukcesy związane są dla niego właśnie z Osiedlem „Północ”.

Rozmawiam z inż. Budzyńskim o jego pracy, o tym dużym, mieszczącym w sobie 150 mieszkań bloku, a jeszcze więcej o czekającym go zadaniu: inż. Budzyński będzie kierownikiem budowy nowej części osiedla „Północ”, akurat naprzeciwko oddawanego do użytku bloku. Już teraz jest to praca trochę na dwa fronty: tam już robota zaczęta, tu — jeszcze nie skończona.

Przyjemnie jednak pomyśleć o czekającym zadaniu: budownictwo nowoczesne — wielkopłytkowe, mające — zdaniem inż. Budzyńskiego — udane rozwiązania techniczne i architektoniczne. Dwadzieścia budynków, w tym trzy dziesięciopiętrowe, kotłownia La Monta, szkoła, dwa przedszkola, żłobek, kino, pawilony handlowe... W tym roku rozpoczyna się pierwszy etap budowy — mają być oddane do użytku cztery nowiutkie „jak z igły” budynki.

— Wielu moich kolegów — mówi inż. Budzyński — po zdobyciu uprawnień budowlanych odchodzi do biur projektowych, zostaje inspektorami nadzoru. Ja bym tak nie potrafił — zawsze to co innego pracować tu, na budowie, widzieć jak dzień po dniu powstaje nowy dom.

— Czasem przechodzę ulicą Bałtycką. Wszystkie te domy to ja budowałem, znam je do najdrobniejszego szczegółu.

— Oczywiście, budowa to jedno pasmo kłopotów: a to stanu surowego nie można skończyć na czas, bo opóźniają się dostawy prefabrykatów, a to roboty wykończeniowe z powodu pogody nie są zrobione jak należy. A to warunki techniczne i jakość materiałów pozostawiają wiele do życzenia, a tu plan trzeba wykonać za wszelką cenę. Po tych kłopotach pozostaje jednak dużo radości i satysfakcja z wykonanej pracy.

Inż. Budzyński niewiele chciał mówić o sobie. Nie powiedział więc, że uważany jest za jednego z najzdolniejszych inżynierów w Koszalińskim Przedsiębiorstwie Budowlanym, że jest członkiem Stronnictwa Demokratycznego i że został wysunięty na kandydata na radnego do miejskiej rady narodowej. Jeśli o sprawy miasta troszczyć się będzie tak jak o swoją budowę — przyniesie na pewno radzie wiele pożytku.

### W NOWYM ZAKŁADZIE

**STANISŁAWA MYTKOWSKA** ósmy rok pracuje w Spółdzielni Ozdób Choinkowych. Z tych ośmiu lat niewiele czasu miała na swoje prywatne sprawy. Żyła — przysłowiowo — pracą.



Dzisiaj mówi się, że mimo swoich pięćdziesięciu trzech lat nie bardzo wyobraża sobie, aby można było życie zamknąć w czterech ścianach domu. O jej latach mogą świadczyć jedynie siwe włosy, a nie ruchliwa twarz, żywe usposobienie, czynna natura. Przyjechała do Koszalina, kiedy miasto było jeszcze w gruzach. Przechowuje pieczołowicie zdjęcia, dziś już dokumenty: odgruzowanie miasta. Jakże poznać miejsca, z których Stanisława Mytkowska, wraz z pracownikami Spółdzielni, usuwa gruz. Stoją tam teraz bloki mieszkalne, mieszczą się „Delikatesy”.

Nie tylko miasto zmieniło swoje oblicze. W tych latach także i Spółdzielnia przeszła wielkie przemiany. Gnieździła się owa wytwórnia w tymczasowej ruderze przy ulicy Gwardii Ludowej. Ciasno tam było, mało powietrza, brak jakichkolwiek wygod. Stanisława Mytkowska w owym czasie była kierownikiem zakładu, przesiadywała tam całe dnie. Trudności w tych niesprzyjających warunkach było bardzo dużo, ale Spółdzielnia wykonywała plany. Robotnicy wiedzieli, że trzeba się jeszcze przemęczyć, że za rok, dwa, przejdą do pracy w nowych zupełnie warunkach.

Nowy zakład był już w budowie. Dzisiaj, okolony trawnikami, pełen światła, powietrza, przestrzeni, z trudem kojarzy się z zakładem produkcyjnym. Tutaj Stanisława Mytkowska kieruje kontrolą techniczną, dozoruje nad bezpieczeństwem i higieną pracy. Twierdzi, że teraz — to nie problem, bo zakład wyposażony jest w łaźnie, szatnie, umywalnie. Kto przychodzi do Spółdzielni — zazdrości warunków pracownikom. A wśród pracowników — przeważają młodzi. Tutaj uczą się zawodu. Z myślą o nich urządzony jest klub, z telewizorem, dla nich kupuje się instrumenty muzyczne. Wszystkim tym interesuje się żywo Stanisława Mytkowska, która ponadto pełni w Spółdzielni funkcję sekretarza podstawowej organizacji partyjnej.

### SPRAWY FABRYKI I DZIELNICY

Życie **HENRYKA SUROWEGO** związało się z Koszalinem od ogłoszenia w gazecie. Koszalińska Wytwórnia Części Samochodowych szukała fachowców. Zostawił więc bez żalu Warszawę i pobliski rodzinny Wołomin. Był wyszkolonym tokarzem, spodziewał się, że będzie potrzebny w Koszalinie.

Nie zawiódł się. Sumiennego pracownika, aktywnego członka partii, wysoko ocenili w zakładzie. Otrzymał mieszkanie,

wygodne, jasne, w którym wpisał jeszcze jednego lokatora — córeczkę urodzoną w Koszalinie.

Niewiele mógł jednak czasu poświęcać rodzinie, bo porwała go praca w Wytwórni i działalność społeczna.

Mistrz produkcji w KWCS nie może przechodzić obojętnie wobec dziesiątków problemów swego zakładu. Odpowiedział na praca, jaką wykonuje, pochłania go — zdawałoby się — bez reszty. Bo przecież Henryk Surowy odpowiada i za ludzi i za maszyny i za produkcję drugiej zmiany. Szkoli także przyszłych frezerów. I jego uwagę zajmowały budowane dwie nowe hale produkcyjne, z których jedna jest już w rozruchu. Wytwórnia rozrasta się, zwiększają się też plany zadań dziennych, za których realizację odpowiada Henryk Surowy.

Mimo te obowiązki — znajduje on czas także na działalność w Komitecie Frontu Jedności Narodu. Jest kandydatem na radnego. Związany z miastem, w którym czuje się potrzebny, chciałby w radzie reprezentować interesy mieszkańców dzielnicy, w której mieszka: dzielnicy Koszalin-Północ.

— Przy ul. Budowniczych — mówi Henryk Surowy — mieszka dwieście rodzin. Wszyscy oczekują na poprawę w zaopatrzeniu, na rozwój punktów usługowych, rzemieślniczych. Problemem jest tam, w naszej dzielnicy, i nawierzchnia i oświetlenie, wreszcie — chyba najpoważniejszym — miejsca zabaw dla dzieci. Cieszę się z rozwoju miasta, cieszę się każdym zakładem pracy, jaki przybywa Koszalinowi, ale będę się najbardziej cieszył, kiedy nasze dzieci — a jest tam ich ze trzysta — znajdą miejsce dla siebie...

### „...ABY UMIELI CIESZYĆ SIĘ NOWYM”

**ZDZISŁAW WĘGRZYNEK** śmieje się, że nie zna jeszcze dokładnie nowej nazwy swego zakładu, chociaż właśnie dopiero zawieszał nowiutką tabliczkę. Czytamy: Koszalińskie Zakłady Przemysłu Lniarskiego „Płytoleń”.

I mało komu chyba wiadomo, że owo prozaiczne zawieszenie tablicy z nazwą nowego zakładu — urasta jednak do symbolu. Zdzisław Węgrzynek przyjechał do Koszalina dwadzieścia lat temu i rozpoczął pracę właśnie w tymże zakładzie, skromnej roszarni. Dwadzieścia lat temu zajął także mieszkanie, w którym dziś już nieco ciasno. Ale wtedy, przed laty, młodemu, samotnemu człowiekowi nie w głowie były wygody, bo od rana w halach czekały na jego ręce i ręce jego towarzyszy — unieruchomione maszyny.



Części do maszyn trzeba było szukać. Wykopywano je z ziemi, wyciągano z wody, montowano. Czasy były szczególnie trudne.

Codziennie kłopoty i trudności przewyżczali z nadzieją, że będzie coraz lepiej, że przyjdą czasy, w których nie trzeba będzie pracować tylko za żywność, w których miasto pełne ruin zamieni się w ośrodek, tętniący życiem.

Dzisiaj Zdzisław Węgrzynek ma prawo mówić, że i cały zakład i miasto rosły na jego oczach. Ma prawo do dumy, bo i w zakładzie i w mieście znajdzie część swojej pracy, swego wysiłku.

Ale Roszarnię na kilka lat zdradził. Poszedł do pracy do MPRB, tam zdobył tytuł przodownika. Jednak Roszarnia upomniała się o niego. Wrócił do tokarni. Jest dziś brygadzystą — i jak sam powiada — pracy wcale nie mniej niż przed laty, ale trudno porównywać dzisiejszy „Płytolen” do dawnej Roszarni.

W ciągu tych dwudziestu lat zmieniło się i miasto. Na miejscu dawnych gruzów, które Zdzisław Węgrzynek usuwał w czynach społecznych — wyrosły nowe domy, sklepy, lokale. Tylko on, brygadzysta „Płytolenu”, nie zdołał zmienić mieszkania w ciągu tych lat. Jego dawne, kawalerskie, służy do dziś jego rodzinie: żonie i trójce dzieci, urodzonych w Koszalinie. Dzisiaj czas już pomyśleć o zmianie, jak i czas mówić o przeszłym, aby — jak mówi — ludzie pamiętali i umieli się cieszyć nowym.



Książkę przyjęto i wpisano

do biblioteki  
29.06.2007  
data  
21110  
opis  
jm



5324

2-